

ANIA Z WYSOK



■ O jednej chińskiej
zupce z torebki dziennie
mierzyła się ze swoim
trzecim ośmiotysięcznikiem,
Manaslu. Żołądek odmówił
wówczas posłuszeństwa,
na szczęście w wysokich
górach można się karmić
wołą walki.

CH GÓR



Zanim zdobędzie Koronę Ziemi, przez kilkanaście lat Ania Lichota będzie mozolnie wspinąć się po nieco innych szczytach. Korporacyjnych, równie trudnych i wymagających niemałej determinacji. A tej ostatniej w szczupłym, niepozornym ciele eterycznej blondynki jest zaskakująco dużo.

Pierwszy raz jej pokłady uruchamiają się, gdy w 3,5 roku kończy pięcioletnie studia zarządzania i marketingu na Uniwersytecie Szczecińskim i zaczyna marzyć o Londynie i nauce w tamtejszej słynnej London School of Economics. Czesne – 15 tysięcy funtów i koszty rocznego utrzymania w Londynie wydają się sumą zawrotną. By zgromadzić pieniądze, haruje całymi dniami, sprzedaje samochód, płyty, książki, co nieco dorzucają rodzice. Ale nadal brakuje 7 tysięcy funtów. Wtedy zaczyna pisać listy naszpikowane argumentami, które mają przekonać adresatów – 100 najbogatszych Polaków z listy publikowanej co roku przez „Wprost”, że jest osobą, której warto te kilka tysięcy funtów pożyczyć. Tak, pożyczyć. Jak skończy szkołę, wszystkim odda. W końcu jest zdolna, ambitna i szalenie pracowita. Zatrudnienie na pewno szybko znajdzie. Przecież musi się udać!

Na jej listy odpowiada dwóch biznesmenów, z samego szczytu listy polskich krezusów – Zbigniew Jakubas i Aleksander Gudzwaty. Ten drugi, pod wrażeniem jej determinacji, oferuje pożyczkę pod warunkiem, że jak tylko skończy szkołę, wróci do Warszawy i przez dwa lata będzie pracować w jego firmie. Propozycja wydaje się kusząca, jednak Ania rezygnuje z niej – nie chce złotej klatki, nawet jeśli przebywanie w niej wiąże się z 1000-dolarową pensją, co w połowie lat 90. jest niemałą kwotą. W ostatniej chwili, gdy decyduje się na wyjazd bez całej sumy, odzywa się znajomy Anglik, nauczyciel z kursu językowego. Na serwetce spisują umowę – on jej pożyczy 3 tysiące funtów, ona zobowiązuje się, że zwróci je w ciągu 2 lat od zakończenia studiów, no i postawi piwo w ramach spłaty odsetek. Serwetkę ma do tej pory.

Już z dyplomem w kieszeni zaczyna dorosłe życie poważnej pani finansistki. Jeszcze nie myśli o wspinaczce na najwyższe szczyty siedmiu kontynentów. Zresztą, ma dużo do zrobienia w życiu zawodowym. Najpierw trafia do londyńskiej firmy prowadzącej





budowy, której oddział ma otworzyć w Polsce. Tak rozkręca biznes, że w drugim roku działalności firma ma na koncie 2 miliony funtów obrotu. Przez kolejne kilkanaście lat jest „panienką z bankowego okienka”, jak czasem o sobie mówi.

Przy czym ta „panienka z okienka” pracuje na najwyższych szczeblach korporacyjnej drabinki. Najpierw w General Electric, gdzie kieruje zespołem wprowadzającym zmiany w oddziałach korporacji w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, potem w centrali banku inwestycyjnego UBS.

W tym czasie mieszka w 9 krajach świata, pracuje w 16, zarządza 550-osobowym zespołem ludzi, pracuje 17 godzin na dobę, oświadcza się swojemu przyszłemu mężowi, rozwodzi się, a w międzyczasie jedzie w Alpy. Tam przewodnik rzuca mimochodem: „A nie chciałabyś zdobyć Korony Ziemi?”. „Przepraszam, a co to jest Korona Ziemi?” – odpowiada, nie wiedząc jeszcze, że od tego momentu jej korpożycie zacznie się zmieniać.

– Na początku chodziło o wyczyn, o adrenalinę, przygodę i udowodnienie sobie, że chcę i potrafię to zrobić. Że nie jestem słabeuszem, że mogę zdobywać góry, nawet te najwyższe. Potem zdałam sobie sprawę, że góry i wspinaczka to dla mnie kurs rozwoju osobistego, praca nad charakterem, a raczej „charakterkiem”. Zrozumiałam, co naprawdę znaczy być wysoko w górach. Nigdy nie zapomnę tego dojmującego uczucia, które ogarnęło mnie na Elbrusie – ja tak naprawdę jestem nikim wobec przyrody. Wystarczy, że wiatr mocniej dmuchnie, a Ania potoczy się po zboczu. I Ani już nie będzie. Wtedy też zrozumiałam, że nie o wyczyn tutaj chodzi, a o bycie ze sobą, poszerzanie własnych granic i wychodzenie poza strefę własnego komfortu – opowiada Ania o początkach drogi na siedem szczytów, z których pierwszy to Kilimandżaro, najwyższa góra Afryki (5895 m n.p.m.). Po kilku latach w swojej książce „No i na co ci te góry?” tak opisze uczucia po wejściu na Dach Afryki: „Doświadczenia wspinacza stoją w zupełnej sprzeczności z moim londyńskim życiem: pracą w banku inwestycyjnym, przebywaniem wśród ludzi, którzy uważają się za panów wszechświata, za współczesnych superbohaterów uzbrojonych w BlackBerry i porsche. (...) Kiedy dzięki determinacji i swoim umiejętnościom wchodzę wraz z innymi na szczyt, gdy zmagam się z przeciwnościami terenu i fizyczną słabością, cały ten sztuczny świat i moje ego schodzą na daleki plan, a każdy z nas jest po prostu człowiekiem”.

Jak sama przyznaje, Kilimandżaro to dla niej „emocjonalna matura” – uczy się brać odpowiedzialność za swoje emocje i dociera do niej, że szczęście... można wybrać. Nie czekać, aż pojawi się ono w stosownym momencie w życiu, lecz zdecydować się na nie – właśnie teraz i tutaj ja jestem szczęśliwa/szczęśliwy bez względu na okoliczności.

W czasie wspinaczki poznaje Clare, z którą dzieli namiot. Długie wieczory składają do kobiecych pogaduszek, nie tylko na górskie tematy. – Rozmawiając z Clare zdałam sobie sprawę, że w moim otoczeniu w ogóle nie ma kobiet, przez co tracę kontakt z 50 procentami populacji. To od tego momentu zaczęłam przy-

jażnić się z kobietami, których wcześniej nie darzyłam przesadną sympatią. Przypuszczam, że na tę niechęć miała wpływ trudna relacja z matką, która przez długi czas nie potrafiła zaakceptować moich wyborów i stylu życia – opowiada Ania.

Po kolejną lekcję życia pojedzie na Elbrus (5642 m n.p.m.). Zanim zdobędzie najwyższy szczyt Kaukazu i pomyśli, że Korona Ziemi naprawdę leży w zasięgu jej możliwości, zacznie intensywnie trenować. Siedmiokilometrowy dystans dzielący jej mieszkanie od londyńskiego City, gdzie pracuje, pokonuje w wysokogórskim stroju, dźwigając plecak wyładowany sześcioma pięciolitrowymi baniakami wody. W przerwie na lunch chodzi na siłownię, by ćwiczyć po okiem trenera, lub wspina się na specjalnej, oblodzonej ścianie. Jeszcze wieczorne rowerowe rajdy po Londynie i weekendowe wycieczki w pełnym górskim rynsztunku po okolicznych wzgórzach. I tak przez 3 lata.

Mimo intensywnego treningu przed wejściem na Elbrus nie czuje się pewna swojej kondycji i możliwości. – Pewnego wieczoru siedzieliśmy wszyscy razem w obozie. Każdy opowiadał o tym, co robi w życiu. Ktoś ma na koncie kilka triathlonów, inny biega maratony, moja towarzyszka z namiotu właśnie zdobyła Mount McKinley, stąd udaje się w Himalaje, a wszyscy wyglądają, jakby byli zbudowani z samych mięśni. A ja co? Czasem chodzę na siłownię, ale większość czasu spędzam w pracy przed komputerem. Nie pocieszyło mnie również to, że jedna z dziewczyn, która miała największe doświadczenie we wspinaczce, po prostu wyśmiała mój amatorski sprzęt. Potem okazało się, że to ja zdobyłam szczyt, a ona nie – Ania wspomina chwile sprzed kilku lat. – Zastanawiając się długo, dlaczego tak się stało, doszłam do wniosku, że wszystko zależy od naszego sposobu myślenia. Można pomyśleć: „O rany, ale tutaj jest stromo i ślisko. Na pewno nie dam rady!”. Ale można też wykonać pewien wysiłek umysłowy i stwierdzić: „Tutaj jest, jak jest. Jeśli odpowiednio wbię czekan, będę mogła się podtrzymać i nie poślizgnąć”. Prawda, że inaczej to brzmi? Elbrus to taka góra, która nauczyła mnie, że porównywanie się z innymi nie ma najmniejszego sensu. Liczy się to, co ja chcę w życiu robić.

A Ania chce zdobywać kolejne szczyty, choć dla wielu wydaje się to nielatwym zadaniem. W końcu, jak ktoś obliczył, skompletowanie szczytów Korony Ziemi zajmuje ludziom średnio 8 lat, kosztuje ponad 150 tys. dolarów i wymaga spędzenia 6 miesięcy na górskich szlakach, w różnych częściach świata i grubo ponad 100 godzin w samolotach. Koszty wypraw Ania pokrywa sama, bez wsparcia sponsorów. Wymaga to czasem wielu wyrzeczeń, ale, jak twierdzi, to również dobra lekcja życia.

– Kiedy kupiłam mieszkanie w Londynie, a było to przed wyprawą na Aconcaguę, przez kilka miesięcy spałam na podłodze w śpiworze. Zamiast na łóżko pieniądze wolałam przeznaczyć na dobry śpiwór, który przyda mi się wysoko w górach. Te kilka lat, w czasie których zdobywałam kolejne szczyty, dały mi pewność, że można pogodzić pasję z pracą zawodową i osiągnięciem stabilizacji materialnej. Mam mieszkanie, które jest moją bazą wypadową i miejscem powrotów z wypraw. Dużo osiągnęłam w sensie





1.



2.



3.

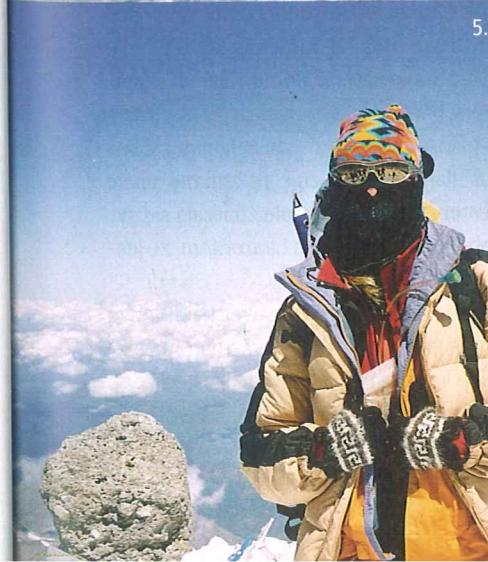
1. Co prawda w swoim londyńskim mieszkaniu spała na podłodze, żeby oszczędzać na śpiwórze, ale ekwipunek do pracy zawsze ma zawodowy.
2., 3. Wprawa na Kilimandżaro. Wielu ludzi myśli, że wchodzenie na tę górę to taki dłuższy spacer, ale przed szczytem bywa naprawdę ciężko. 4. Podchodzenie na Elbrusa po oblodzonej stromiźnie. 5. Na szczycie Elbrusa Ania miała na sobie amatorski ekwipunek, w większości to wypożyczone rzeczy. Jeszcze wtedy nie wiedziała, czy wysokie góry są dla niej. 6. Pierwsza myśl, jaka przyszła Ani do głowy na szczycie Mt. Everestu: „Wow – każdy krok będzie mnie przybliżał do domu”. 7. Ania organizuje warsztaty i szkolenia. 8. I zbiera pieniądze dla nepalskiej fundacji budującej szkoły. Tu na otwarciu pierwszej z nich, w 2011 r.



4.



6.



5.



7.



8.

zawodowym, nie rezygnując przy tym ze swoich marzeń. Także tych związanych z pomaganiem innym. Pozyskane od sponsorów pieniądze przeznaczam na budowę szkół w Nepalu, a wcześniej organizowałam razem z UNICEF-em programy pomocowe w Afryce. Kolejne z marzeń spełnia się, gdy Ania staje na najwyższym szczycie Ameryki Południowej, Aconcagui (6964 m n.p.m.). W trakcie wspinaczki zajmuje się współlokatorką, która cierpi na chorobę wysokościową, stara się żartami rozładowywać iskrzącą czasem atmosferę w grupie. Tutaj nieocenione okazały się umiejętności z korporacji – przede wszystkim kierowania zespołem, do czego z kolei przydają się empatia i inteligencja emocjonalna. Uczy się dawać, nie oczekując niczego w zamian. Uczy się brać bez wyrzutów sumienia i natarczywej myśli, że bezwzględnie należy się odwdziżyć.

Wie, że kolejny szczyt na jej „koronnej liście” – Mount McKinley (inaczej Denali, 6194 m n.p.m.), to niemałe wyzwanie. Przygotowuje się do niego solidnie, nie zapominając o żadnym aspekcie wyprawy. Nawet tym najbardziej intymnym – o siusianiu na stojąco za pomocą specjalnego lejka, co w wysokich górach jest umiejętnością bardzo ułatwiającą życie. Spaceruje po Londynie z 30-kilogramowym plecakiem – taki sam będzie musiała założyć, wspinając się na Denali, resztę bagażu ciągnąc pod górę na sankach. Po raz czwarty i ostatni w życiu spisuje swój testament. Zanim jednak pomyśli, że co ma być, to będzie, i że nie warto się tym przesadnie przejmować, wchodząc na Denali, tuż przed stromą skałą, którą musi pokonać na poręczówkach, straci panowanie nad ciałem i emocjami. Odważna Ania, która niczego się nie boi i zawsze prze do przodu, siada i zaczyna płakać. A gdy uzmysławia sobie, że nie wie, skąd wziąć siły do dalszej wspinaczki – wyć. Tuż obok niej, na białym śniegu, widnieją jasnoczerwone plamy – to krew, którą pluje męczyzna cierpiący na ostry atak choroby wysokościowej. Na szczęście po kilkunastu minutach atak mija, Ania wraz z grupą kontynuuje wspinaczkę, by po kilku dniach stanąć na szczycie góry, która tak bardzo dała jej w kość. – Na Denali pozbyłam się ego i dumy. Nieźle dostałam w tyłek od natury, która w dość dosadny sposób dała mi do zrozumienia, że jestem nic nieznaczącym pyłkiem. Przeżyłam straszne załamanie emocjonalne. Wtedy uzmysłowiłam sobie, że nie mogę myśleć, jak ja to zrobię, jak mam postawić kolejny krok, skąd wziąć na to siłę. W tym momencie wyłączyłam racjonalne myślenie i zaufałam swojej intuicji, która podpowiadała mi: „Wstawaj i idź! No już, idź!”. Podniosłam się, założyłam plecak i nie zastanawiając się dłużej, skąd mam brać siły na dalszą wspinaczkę, zaczęłam iść przed siebie. Po prostu – wspomina Ania.

Ania w lodowej krainie czarów – tak można zatytułować kolejny rozdział życia Ani, która tym razem ląduje na 2 miesiące w Nepalu, by zdobyć Mount Everest (8848 m n.p.m.), najwyższą górę świata. Przygotowania do wspinaczki zajmują jej 14 miesięcy, w czasie któ-



rych codziennie ćwiczy na siłowni, odwiedza basen, uprawia jogę, medytuje, spaceruje po Londynie z solidnie obciążonym plecakiem, a tuż przed wyjazdem żegna się z rodziną, przyjaciółmi, znajomymi z pracy – 10 procent ruszających w Himalaje zostaje na zawsze na zboczach Everestu. 23 maja 2010 roku o ósmej czterdzieści pięć staje na szczycie Czomolungmy. Pierwsze, co przychodzi jej wtedy na myśl, to to, że teraz może już po prostu wracać do domu. Powrót do zdrowia i sił zajmuje

jej kolejne osiem miesięcy. „Moje ciało było w strzępach. Przez wiele tygodni poranne wstawanie sprawiało mi ból. Nie buntowałam się, bo uznałam, że to niewielka cena za wewnętrzną wiedzę, jaką posiadam” – pisze w swojej książce. Jak przyznaje, na Mount Evereście nauczyła się być przygotowaną na wszystko, spokojnie przyjmować to, co się dzieje, nawet jeśli jest to zwiastun czegoś najgorszego.

I zawsze brać pełną odpowiedzialność za siebie. – W momencie kiedy pakowałam do plecaka własne odchody, by znieść je do bazy, zrozumiałam, co to znaczy wziąć pełną odpowiedzialność za siebie, za swoje myśli, czyny, intencje, nawyki, charakter i przyszłość. Zero wymówek – przypomina himalajską lekcję sprzed kilku lat.

Gdyby zapytać Anię, co dają jej góry, po co ta wspinaczka na Mount Vinson na Antarktydzie, najbardziej nieprzyjaznym człowiekowi kontynencie, czy morderczy marsz przez dżunglę na Carstensz Pyramid, szczyt położony na indonezyjskiej wyspie Nowa Gwinea, przez wspinaczy uznawany za najtrudniejszy pod względem logistycznym z całej Korony Ziemi, odpowie: – Już po zdobyciu pierwszego szczytu zauważyłam, że zmiany zachodzą nie tylko we mnie, ale także w moich relacjach z otoczeniem. Dzięki Koronie Ziemi nauczyłam się prosić o pomoc w pracy, co wcześniej było nie do pomyślenia. Zmieniły się stosunki z moją rodziną. Nasze rozmowy zaczęły być bardziej intymne i szczere, pozbawione wymówek i przytyków. Zaczęliśmy okazywać sobie uczucia, co w mojej rodzinie, niezbyt skłonnej do okazywania jakichkolwiek emocji, było nowością. Do tej pory trudno mi w to uwierzyć, ale kiedy zadzwoniłam z bazy pod Everestem, moja siostra powiedziała, że mnie kocha. Dopiero teraz, po Koronie Ziemi, mogę powiedzieć, że jesteśmy prawdziwą rodziną. Zmieniły się też moje relacje z facetami. „Ania, która sobie zawsze poradzi sama” skapitulowała. Paradoksalnie, góry bardzo mnie zmiękczyły, sprawiły, że stałam się kobieca. To widać na zewnątrz – zaczęłam nosić sukienki, malować się, zapuściłam włosy. Czuję tę zmianę także w środku – kiedy trzeba, jestem samodzielna, ale zdarzają się sytuacje, zwłaszcza z moim obecnym partnerem Laurentem, że jestem absolutną kotką. I jest mi z tym dobrze.

Ania ma jeszcze jedną górę do zdobycia, może nawet trudniejszą od poprzednich. To specyficzna góra – rośnie z każdym miesiącem i jest cały czas przy niej. Jeszcze nie wiadomo, czy będzie to chłopczyk, czy dziewczynka.

© EWA PLUTA